

SKARBNICA

pismo miesięczne
popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:

Ks. MARCELI DZIURZYŃSKI.

Treść zeszytu: Jakie były początkowe rządy u dawnych ludów słowiańskich i w Polsce. — Gość. — Rusin, Moskal i Polak, czyli Kościół katolicki a schizma (ciąg dalszy). — Opowieść o Szwedzie.

NAKŁADEM WYDAWCY.

W KRAKOWIE, CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządkiem A. Szyjewskiego.

1901.

SKARBNICA

PISMO POPULARNO-NAUKOWE i POWIEŚCIOWE

wychodzi **raz** w miesiącu — dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: *X. Marceł Dziurzyński.*

Przedpłata wynosi:

w Austrii: na rok 3 korony (1 złr. 50 ct.); na pół roku 1 korona 50 halerzy (75 ct.). — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się
W Niemczech: na rok 3 marki. — **W Ameryce:** rocznie 1 dolar.—

Adres do przesyłania przedpłaty:

Redakcja „Skarbnicy“ w Krakowie, ulica Basztowa L. 4.

Jakie były początkowe rządy u dawnych ludów słowiańskich i w Polsce.

Poznaliśmy już z artykułu, podanego w pierwszym zeszytcie *Skarbnicy*, z czego powstała Polska i jakim sposobem. Stała się ona powoli jakby jedną rozłożystą lipą słowiańską. Korzeń, pień, gałęzie, różnią się w drzewinie, wszystko z osobna jakby nie to samo, ale, co z jednego korzenia wyrosło, ma w żyłach swoich soki podobne, co go zachowają zawsze w podobieństwie, i zrastać się dają tylko drzewinom tej samej natury.

Polska zrosła się z pokoleń jednej krwi, i stała się potężnem państwem. Moglibyśmy o niej mówić odrazu, o jej rządach i prawach, bo ona to była tem państwem, które w potęgę urosło i o którym ojcowie nasi opowiadają, jako było rozległe przed upadkiem swoim i jakto w nim pod te czasy bywało.

Ale nie godzi się pominąć początku, od którego to poszły te rządy i prawa, jak było przedtem, jak było potem. Nie godzi się pominąć tych drobnych, rozsypanych ludków słowiańskich z których się złożyła Polska; bo tam była kolebka całego państwa, tam była kolebka i rządu i prawa; tam był korzeń tej rozłożystej lipy, na której potem urosła bujna korona. Więc nam wypada wrócić znowu do tego początku, przypatrzeć się temu drobnemu gospodarstwu maleńkich ludów, co to jeszcze

nie myślały o tem, jak w świecie zapanować i nie wiedziały tego, na co się przyda wielkie państwo.

Kiedy to jeszcze ludy słowiańskie rozmaitego nazwiska, samopas żyły dla siebie, to w tej naturze rodziny i gminy, zamykało się całe ich gospodarstwo, cały ich rząd małeńki; i na one czasy, było to dla nich wszystko, czego potrzebowały i było im z tem dobrze — a rozum ich i doświadczenie nie szukały nic innego. Więc ich rząd stał na rodzinie i na gminie.

Najstarszy w rodzie miał posłuch w całej rodzinie i czeladzi, do niej należącej. On ich trzymał w karności, był dla nich opieką, był ich rozumem i radą. Ci wszyscy, co z pracy około niego i dla niego żyli: rodzina i czeladź, mieli swoje żywienie przez niego, nazywali się jego chlebojedzcy. Im więcej miał kto chlebojedzców, tem sławetniejszy był ród jego, poczestniejsze było jego imię w gminie.

Zawinił który z chlebojedzców względem drugiego, to ich chlebowdawca, naczelnik rodu, po zwyczaju miał prawo dochodzić słuszności i ukarać winnego. Była to wina względem chlebojedzcy cudzego, to także naczelnik rodu miał uczynić sprawiedliwość. A gdy tego nie uczynił, to za niego uczyniła Rada gminna, Starszyczna gminy, którą sobie gmina wybierała, aby był porządek i sprawiedliwość.

Urzędnikami gminy byli setnicy i dziesiętnicy. A sądzono tam nie podług pisanego prawa, ale podług sumienia i po zwyczaju.

Ale gmina sama nie daje ludowi siły: są sprawy, które się tyczą sąsiadów, co w innych gminach mieszkają; i że ci razem pomagają sobie muszą, i chętnie sobie pomagają, gdy pochodzą ze wspólnego rodu. Więc też było tak u tych ludów słowiańskich; a nazywało się takie połączenie kilku lub więcej gmin, opolem.

Starszyczna w opolu, wybrana była z różnych gmin, i tam się zbierała na roki, to jest na wyroki, na sądy. Zwano niekiedy opola żupami, a naczelnik takiego opola czyli żupy, zwał się żupan niby żupny pan. Różnił się szatą od innych, skąd zapewne znany także strój żupan pochodzi. A bywał on przez gminy obierany jak inni urzędnicy.

Była spółność, braterskość taka w gminach i opolach, że w nich było poręczenie własności i dobra wszystkich. Jeżeli się stała komu krzywda od drugiego, a winowajcy nie wiadano, to spółność gminy, gdzie się złe stało, musiała pokrzywdzonego wynagrodzić; a to się zwało, społeczna ręka.

Gminy odpowiadały społeczną ręką za całość i bezpieczeństwo podróżnych. Gdy podróżny napastowany wołał o pomoc, a nie dano mu jej, gmina, w której granicach poniesiona była szkoda, wynagradzała mu.

Dla naradzenia się w sprawach publicznych odbywały się schadzki publiczne, które się nazywały zborem. Taki zбір odbywał się w świątyniach lub gajach, poświęconych pod ulubioną u Słowian lipą, lub na cmentarzach. Te świątynie były wówczas pogańskie, i te gaje poświęcone, były poświęcone czci jakiegoś bożka pogańskiego, którego lud wyznawał, lecz te miejsca były szanowane od ludu, bo podług ówczesnej wiary, były dla ludu święte. Więc takie miejsca obierano na zbory, aby lud zgromadzony zachował się ze czcią i powagą przynależną, aby nad sprawami naradzał się z powagą, uszanowaniem i sumieniem.

W ważnych sprawach, co się tyczyły dobra publicznego, potrzeba było jednomyślności, to jest żeby się wszyscy na to zgodzili. W mniejszych sprawach radzono większością, to jest większą liczbą, skąd nazwisko wieca, zbierano się na wieca.

Na wiecach starszyzna radziła; starszyznę pytano o zdanie — popolitość, reszta ludu milczała — ale zwoływani byli wszyscy na wieca, aby wiedzieli o co chodzi, co postanowiono.

W czasie pokoju rządziły się gminy i żupy same, przez swoich starszych. Ci byli do sądu i do rady. W czasie wojny obierano sobie jednego, kto ma przewodzić nad zborem żup — a ten zwał się wojewodą, że wojnę wiedzie, w wojnie dowodzi.

Taka tedy była ustanowa polityczna tych ziem, tych ludów słowiańskich, drobnych, jeśli ich uważamy po osobności, każdego dla siebie; rozległych i licznych, jeśli ich weźmiemy pospołu, niby społeczną ręką, krewnych sobie rodem, zwyczajem, mową i braterstwem politycznym.

Nie było to państwo posłuszne jednej władzy, nie było to państwo jednego nazwiska: były to ziemie pokrewne, które miały swoje nazwisko od okolicy, od położenia; były to rządy rodzinne, dla nich przydatne, w nich samych zrodzone, niby domorosłe, bez szukania po świecie, bez naśladowania, podług własnych potrzeb, podług własnego ducha wyrobione i w zwyczaj wprowadzone: a było to razem braterstwo tych ludów, gdzie starszyzna, co rządziła, nazywała się starszą bracią, a reszta młodszą bracią.

Podług dzisiejszej nauki nazwalibyśmy ten rząd rzeczpospolitą demokratyczną: ponieważ tam rządziła Star-

szyszna z ludu wybrana, a nie było stanów do panowania i rządu zrodzonych. Lud w tych ziemiach trudnił się głównie rolnictwem, i siedział na roli wolny, bo panów jeszcze nie było. Kto nie był w stanie prowadzić własnego gospodarstwa, to był chlebojedzcą, sługą podług swej woli u drugiego.

G O Ś Ć.

(OPOWIEŚĆ Z ROSYJSKIEGO).

Raz mieszkał w mieście pewien szewc; nazywał się Marcin Awdieicz. Mieszkał w piwnicy, w maleńkiej izdebce z oknem, które na ulicę wychodziło. Przez okienko mógł widzieć, jak ludzie przechodzili; — wprawdzie widział tylko ich nogi, ale po butach poznawał dokładnie, co o każdym z nich ma sądzić. Oddawna już tak żył Marcin Awdieicz w piwnicy i rozległe miał znajomości. Nie było może pary trzewików w tej stronie miasta, któraby raz lub dwa razy nie dostała się w jego ręce. To dawał nowe podeszwy, to przyszywał przyszcypki, to nakładał obcasy, czasem nawet nowe przyszwycy dawać musiał. Nieraz przez okienko, na nogach ludzi, poznawał swoją robotę.

Pracy miał Marcin dosyć, bo robił dobrze, dawał najlepszy materyał, nakładał mierne ceny i dotrzymywał terminu. Jak może skończyć na oznaczony czas, to przyjmuje robotę, ale skoro nie może, to odmówi odrazu i głupców z ludzi nie robi. Cały świat zna Marcina, i nie zdarzyło się, aby był bez roboty.

Marcin był zawsze dobrym człowiekiem, a kiedy zaszedł w lata, począł jeszcze więcej myśleć o swej duszy i zbliżać się do Boga. Żona jego dawno już umarła, kiedy był jeszcze czeladnikiem. Także dzieci pomarły mu wszystkie, prócz trzyletniego synka, który po śmierci matki ojcu pozostał. Zrazu Marcin chciał małego oddać na wieś do siostry, ale tak mu było trudno puścić małego Kapitoszkę od siebie między ludzi, że wreszcie zatrzymał go przy sobie.

Marcin więc porzucił swego majstra i przeniósł się z synkiem do własnego mieszkania. Ale tak już być miało, że się nie doczeka pociechy z dzieci; zaledwo bowiem mały Kapitoszka podrosł tak, że mógł ojcu pomagać, zachorował nagle, przeleżał tydzień w gorączce i umarł. Marcin był zrozpaczony, kiedy syna swego musiał pochować; był tak zrozpaczonym,

że nawet przeciw Bogu głos podnosić zaczął. Smutek i gorczyz spłynęły do jego serca, nieraz więc prosił Boga, aby go zabrał do siebie i skarżył się, że to nie on stary, ale jego jedyny, ukochany syn, umrzeć musiał. Nawet do cerkwi Marcin zaprzestał chodzić.

Wtem odwiedził go pewien krajan, który od ośmiu lat pielgrzymował, a teraz właśnie powracał z monasteru św. Trójcy. Zaczęli rozmowę, a Marcin otworzył swe serce przed pielgrzymem.

— Nie mam najmniejszej ochoty do życia, człowieku Boży. Chciałbym jak najrychlej umrzeć; o to tylko proszę Pana Boga. Człowiekiem bez nadziei żadnej stałem się.

A na to odpowiedział mu starzec: — To nie dobre słowa, które mówisz, Marcinie. Nie powinniśmy sądzić dzieł Pana Boga. Do Boga należy sądzić o wszystkim, a nie do naszego rozumu. Z Jego wyroku umarł twój syn, a ty również z Jego wyroku żyjesz; widocznie tak jest lepiej. A jeżeli rozpaczasz, to z pewnością z powodu, że chcesz żyć dla własnej przyjemności.

— A dla czyjejeż przyjemności mam żyć? — zapytał Marcin.

A stary odrzekł: — Na chwałę Bożą powinno się żyć Marcinie, Bóg dał ci życie, dla Niego więc masz żyć. Jeśli dla Niego żyć będziesz, nie będziesz miał żadnych smutków: wszystko ci się wyda łatwym.

Marcin zamilkł na chwilę, a potem zapytał: — A jak to się ma żyć dla Boga?

Starzec zaś mu odpowiedział: — Jak się po Bożemu ma żyć, tego nas nauczył Pan Jezus. Czy umiesz czytać? No, to kup sobie biblię i czytaj; tam znajdziesz, jak masz żyć na chwałę Boską. Wszystko jest tam powiedziane.

Te słowa zapuściły głębokie korzenie w sercu Marcina. Tego samego dnia jeszcze wyszedł do miasta i kupił sobie Nowy Testament, wielkimi czcionkami drukowany, i zaczął czytać. Z początku postanowił sobie czytywać tylko w święta, ale zaledwo rozpoczął, tak mu się zrobiło błogo na sercu, że codziennie odtąd czytał w świętej księdze. Czasem tak się w niej zagłębiał, że mu się nafta w lampie wypalała do szczętu, a on nie mógł się oderwać od książki. Wieczór po wieczorze czytał tak, a im więcej czytał, tem jaśniej pojmował, czego Bóg od niego wymaga i jak ma się żyć po Bożemu, a coraz to lżej robiło się mu na sercu.

Dawniej, kiedy szedł spać, wzdychał i jęczał nieustannie o swym Kapitoszce; teraz zaś mówił tylko: „Chwała Ci! Chwała Ci, Panie! Niechaj się stanie wola Twoja!”

Od tego czasu zaczęło się dla Marcina całkiem odmienne życie. Dawniej często się zdarzało, że w święto szedł do szynku i wypijał tam szklanę herbaty. A i wódką nie pogardzał. Jeśli spotkało się jakiego przyjaciela, to wypilo się z nim parę kieliszków, a chociaż się nie upił, to przecież opuszczał Marcin szynk w usposobieniu podochoconem, gadał trzy po trzy, krzyczał lub wymyślał ludziom. Teraz wszystko to jakoś samo z siebie ustało. Życie jego stało się cichem i radosnem: rano siadał do roboty, a odrobiwszy swój czas, kiedy wieczór nadszedł, zdejmował lampę, stawiał na stole, wyjmował książkę z szuflady i zaczynał czytać. I im więcej czytał, tem lepiej pojmował, tem jaśniej, radośniej było mu na sercu.

Pewnego dnia zaczytał się znowu późno w noc. Czytał właśnie Ewangelię św. Łukasza i to w szóstym rozdziale słowa: „Jeśli cię kto uderzy w policzek, nastaw mu drugi, a kto ci płaszcz zabiera, temu nie broń i sukni. Jeśli ktoś cię o co prosi, daj mu; a kto coś twego zabierze, nie żądaj, aby ci oddał. A co chcecie, aby wam ludzie czynili, to czyńcie i wy ludziom“.

A dalej czytał wiersze, gdzie Pan Jezus powiada: „Czemuż wołacie do mnie, Panie! Panie! a nie czynicie, co wam nakazuję? Kto do mnie przychodzi i słucha słów moich i wykonuje je, temu powiem, do kogo jest podobnym. On podobnym jest do człowieka, który, dom budując, wykopał dół głęboki i założył fundamenta na skale. I nadeszła powódź i strumień uderzył w ściany domu, a nie mógł ich poruszyć, gdyż były na skale ugruntowane. Ale kto słucha, a nie czyni, ten podobny jest człowiekowi, co wznosił dom na piasku bez podwalin; i woda nań uderzyła, i upadł rychło, i pękł szeroko“.

Kiedy Marcin przeczytał te słowa, zrobiło mu się przyjemnie około serca. Zdjął okulary, złożył je na książce, oparł łokcie na stole i począł rozmyślać. I zaczął przyglądać się własnemu życiu, oświeconemu blaskiem tych słów. — Na czem więc stoi mój dom? Na skale, czy na piasku? Jeżeli stoi na skale, to dobrze. Ach, tak wydaje się to łatwem, siedzi się tu i myśli, że wszystko idzie po Bożemu, ale zanim się człowiek opatrzyć zdoła, grzech już jest tuż przy nim. No, chcę widzieć, jak doprowadzę do celu. Pomóż mi Panie!

Tak myślał i chciał się już położyć spać, ale żał mu było odrywać się już od książki. Czytał siódmy rozdział, czytał o synu wdowy, o odpowiedzi, którą dał Chrystus wysłańcowi:

św. Jana, i przyszedł do miejsca, gdzie bogaty faryzeusz zaprasza Jezusa w gościnę, czytał o jawno-grzesznicy, która Jego nogi balsamem namaściła i łzami obmyła i, którą Chrystus oczyścił, przyszedł do dwudziestego czwartego wiersza i czytał: „I zwrócił się do kobiety i rzekł do Szymona: Czy widzisz tę kobietę? Przybyłem do twego domu, a nie dałeś mi nawet wody do obmycia nóg; ale ta obmyła nogi moje łzami, a osuszyła włosami swej głowy. Nie dałeś mi pocałunku, ale ta, odkąd tu wszedłem, nie zaprzestała nóg moich pokrywać pocałunkami. Nie namaściłeś olejem głowy mojej, a ona balsamem namaściła nogi moje“.

Marcin czytał te wiersze i myślał: — Nie dał mu wody na nogi; ani pocałunku, ani nie nabalsamował głowy Jego... I znowu zdjął okulary, złożył je na książce i począł myśleć: — Zupełnie podobnym do mnie wydaje mi się ten faryzejczyk. I ja też zawsze myślałem tylko o sobie, o tem, czy mi jest zimno, czy ciepło, czy mam się napić herbaty; ale o gościu moim nie pomyślałem nigdy. A któż jest nim? To Bóg sam! Co jabym też zrobił, gdyby On tak przyszedł do mnie?

I oparł się na obu dłoniach i myślał dalej. Wreszcie począł się chylić, nie spostrzegając tego. — Marcinie! — zawołał nagle cichy głos nad jego uchem.

Marcin zerwał się z drzemki i zawołał: — Kto tu jest? — Odwrócił się i spojrział ku drzwiom — nie było nikogo. I znowu zdrzemnął się, gdy wtem całkiem wyraźnie usłyszał: — Marcinie, hej, Marcinie! Wyrzyjno na ulicę; przyjdę do ciebie!...

Marcin obudził się, wstał ze stołka i przetarł sobie oczy. Sam nie wiedział, czy słyszał te słowa na prawdę, czy tylko przez sen. Zgasił lampę i położył się spać. Nazajutrz jeszcze przed świtem Marcin zerwał się, odprawił swą modlitwę, zapalił w piecu, przystawił garnuszek z barszczem i kaszą, nastawił samowar, przypasał fartuch i usiadł u okna do pracy. Siedział i robił, ale ciągle myślał o tem tylko, co mu się wczoraj zdarzyło. I ciągle jeszcze wahał się, czy to, co słyszał, było rzeczywistością, czy tylko snem. — Nie byłoby to przecież pierwszy raz, — myślał — gdyby się taka rzecz na prawdę stała.

Siedział przy oknie i pracował, a skoro tylko ktoś przechodził ulicą, wyglądał przez okno, patrząc na trzewiki zawsze, a jeśli to były nieznane trzewiki, spoglądał w górę ku twarzy. Najpierw przeszedł stróż w nowych berlaczach, potem

woziwoda, potem stary żołnierz z czasów mikołajewskich w starych połatanych buciskach z łopata w ręku. Po butach poznał go Marcin; był to stary Stepanicz, który żył na łasce w sąsiedztwie u pewnego kupca. Za to miał stróżowi pomagać przy robocie i właśnie zabierał się, aby odgarnąć śnieg przed okienkiem Marcina. Ten popatrzył chwilkę na niego i wrócił do swojej roboty.

— Widzisz go — śmiał się sam ze siebie w duchu — zgłupiałeś całkiem na starość. Stepanicz przychodzi odgarnywać śnieg, a ja myślę, że to Pan Jezus do mnie przyszedł. Zgłupiałeś całkiem, ty siwy osle. — Ale zaledwo Marcin zrobił dziesięć ściegów, kiedy go coś pociągnęło ku oknu. Wyziera i patrzy: Stepanicz oparł łopatę o mur, wypoczywa i rozgrzewa się. Stary to, chuderlawy człowiek, co ma zaledwo tyle siły, aby śnieg poruszyć łopata. — Możebym mu dał szklanę herbaty? — pomyślał Marcin. — Samowar właśnie zaczyna syczeć.

Wbił szydło w stół, wstał, postawił samowar na stole i zapukał palcem w okno, Stepanicz odwrócił się i podszedł do okna. Marcin kiwnął na niego, aby wszedł do środka i poszedł otworzyć mu drzwi. — Chodź zagrzeać się, powiedział — przemarzyłeś dobrze, prawda, co?

— A niechże ci Pan Jezus zapłaci, — odpowiedział Stepanicz — aż mnie kości bołą z mrozu. — Otrząsał się ze śniegu, wytarł czysto nogi, aby podłogi nie powalać, i podszedł bliżej.

— Daj pokój, — powiedział Marcin — ja już tam sobie powycieram, siadaj tu sobie i napij się szklanę herbaty. — Nalał dwie pełne szklanki, jedną postawił przed gościem, podczas gdy z drugiej ulał trochę na spodek i począł dmuchać.

Stepanicz wypił, postawił szklanę dnem do góry i podziękował, ale z oczu mu patrzyło, że chętnie wypiłby drugą.

— Napij się jeszcze jedną — powiedział Marcin, i nalał jemu i sobie znowu po szklance. Marcin pił swą herbatę, ale ciągle spoglądał ku oknu na ulicę.

— Czy oczekujesz kogo? — zapytał gość.

— Czy oczekuję kogo? Jakby ci to powiedzieć. Oczekuję i nie oczekuję. Zdarzyło mi się coś, czego nie umiem wytłumaczyć. Może to był sen, a może nie. Widzisz brateczku, czytałem wczoraj Ewangelię o Panu Jezusie, jak cierpiał i jak po ziemi chodził. Słyszałeś pewnie o Nim? Prawda?

— Słyszało się tam coś, ale tacy ludzie, jak ja, nie wiele co rozumieją z tego, bo to nawet się czytać nie umie.

— No, więc czytałem tam, jak Pan Jezus chodził po ziemi. Czytałem, wiesz, jak to przyszedł do faryzeusza, a ten Mu nie przygotował żadnego przyjęcia. Czytałem, czytałem, kochany bratczyku, i myślałem sobie: Co to za człowiek musiał być, który Pana Jezusa tak źle przyjął? Gdyby On na przykład, powiedzmy, do mnie się zapowiedział, czegobym ja dla Niego nie przyrządził! A ten nawet nie przyjął Go, jak się należy! Tak myślałem, tak myślałem o tem, ażem zasnął. A skorom tylko zasnął, miły bratczyku, usłyszałem, że mnie ktoś po imieniu woła. Budzę się i słyszę znowu, jak ktoś mi w ucho szepcze: „Poczekaj, jutro przyjdę do ciebie“. I tak zaszepotało coś dwa razy. No i widzisz, to jest właśnie, co mi się przydarzyło. A teraz czekam, czy też on przyjdzie do mnie?

Stepanicz potrząsnął tylko głową, ale nic nie odpowiedział, wypił swoją herbatę i przewrócił szklanekę. Ale Marcin odwrócił ją i nalał raz jeszcze. — Pijno no! Niech ci na zdrowie pójdzie! Ja myślę, że On przyjdzie. Przecież, kiedy chodził po ziemi, nikim nie pogardzał, lecz owszem najczęściej przestawał z najprostszym ludem. Wyszukiwał zawsze biednych, a uczniów swoich nawet wybierał najczęściej z pomiędzy takich ludzi, jakimi my obaj jesteśmy, z pomiędzy robotników. Kto się wywyższa, mówi Pan Jezus, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony. Wy nazywacie mnie panem, a ja wam będę myć nogi. Kto chce być pierwszym, ten niechaj będzie sługą wszystkich. Gdyż szczęśliwymi są, mówi, ubodzy i miłujący pokój, i ci, co są czystego serca.

Stepanicz aż o swojej herbacie zapomniał. Był to stary, niedołążny człowieczyzna, a teraz siedział zgarbiony i słuchał, a łzy spływały mu po policzkach. — No pijże, pij! — mówił Marcin; ale Stepanicz przeżegnał się, podziękował, odsunął szklanekę od siebie i podniósł się. — Dziękuję wam, Marcinie Awdieiczu — powiedział — ugościłeś mnie, nakarmiłeś mi ciało i duszę.

— A przyjdźno znowu, proszę, zrobisz mi wielką przyjemność swojemi odwiedzinami — wołał za nim Marcin.

Stepanicz wyszedł, a Marcin nalał sobie resztę herbaty, wypił, odłożył na bok naczynie i wziął znowu robotę do ręki. Nabijał właśnie jakiś obcas. Puka i puka i spogląda przytem ciągle w okno. Oczekuje Pana Jezusa, myśli tylko o Nim i o Jego świętych czynach. A po głowie chodzi mu ciągle wiele słów Chrystusa.

Dwóch żołnierzy przeszło mimo, jeden w butach komiśnych, drugi we własnych; potem poszedł pan z sąsiedniej kamienicy w błyszczących kaloszach, potem piekarz z koszem. Kiedy już przeszli, zbliżyła się jakaś chłopka w wełnianych pończochach i chodakach. Przeszła popod oknem i tuż opodal stanęła przy słupie.

Marcin spogląda przez okno i widzi, że to jakaś obca, że źle jest ubrana i że trzyma dziecko na ręku; stanęła plecami do wiatru i stara się dziecko jak najlepiej otulić, ale nie ma czem go okryć. Suknie jej letnie i do tego podarte. A Marcin słyszy, jak dziecko krzyczy i jak ona stara się je uspokoić, a nie może utulić. Powstał więc, wyszedł do drzwi, wszedł na schodki i zawołał: — Kobiecino, hej kobiecino! — A ona usłyszała go i odwróciła się. — Czego tu stoisz z dzieckiem na takim zimnie? Chodźno tu do mojej izby, tu lepiej je możesz owinąć. Chodź, o tak, tędy się wchodzi!

Zdziwiona bardzo, patrzyła na niego kobieta: stary człowiek, z fartuchem, w okularach na nosie, woła ją do izby! I poszła za nim, zeszła po schodach i weszła do izby, gdzie ją stary do łóżka doprowadził.

— O, tu siadaj sobie, kobiecino — powiedział — tak, bliżej jeszcze pieca; możesz się zagrzać i uspokoić małego.

— Nie mam pokarmu dla niego, — powiedziała kobieta — sama jeszcze dziś nic nie jadłam. — Mimo to zbliżyła dziecię do piersi.

A Marcin potrząsł głową, podszedł do stołu, wziął kawałek chleba, otworzył drzwiczki od pieca i nalał barszczu do garnuszka. Wyjął też garnek z kaszą, ale że nie była jeszcze gotowa, więc mógł kobietę ugościć tylko kwasem i chlebem.

— Siadaj, kobieto, i jedz — powiedział — a ja tymczasem potrzymam dziecko. Nie bój się! I ja miałem dzieci — wiem, jak się z nimi obchodzić.

Kobieta przeżegnała się, siadła do stołu i poczęła jeść, a Marcin przysiadł na łóżku koło dziecka. Najprzód przemawiał do niego i klaskał językiem, ale mu to jakoś nie szło, bo nie miał już zębów, a dziecko nie przestawało krzyczeć. Wpadł więc na inną myśl; zbliży małemu palec do ust i zaraz go zabiera; do ust mu go nie wkłada, bo palec jest czarny, smołą powalany. A dziecko zaczęło patrzeć za palcem i umilkło. A nawet zaczęło się śmiać. Marcin sam cieszył się z dzieckiem, a kobieta jadła i opowiadała o tem, co jest za jedna i dokąd idzie.

— Mój mąż jest żołnierzem — mówiła; — przed ośmiu miesiącami odmaszerował, a ja odtąd o nim ani słyhu nie mam. Byłam kucharką, przyszło dziecko, więc nie chciano mnie trzymać dłużej. Już trzeci miesiąc męcę się tak bez służby. Wszystko, co miałam, sprzedałam na strawę. Chciałam pójść za mamkę, ale mnie nie przyjęto; — jestem za chuda, mówili mi. A teraz idę do jednej kupcowej, gdzie służy moja babka. Tam mnie obiecali przyjąć. Tego tygodnia mam tam być, ale to jest daleko, a ja jestem zmęczona i mój ten robak jest zmęczony. Bogu dzięki, że nas jeszcze gospodyni dla miłości Pana Jezusa, nie wyrzuciła z mieszkania, bo nie wiem, cobym ze sobą zrobiła.

A Marcin westchnął i rzekł: — No, a nie masz jakich cieplejszych sukien?

— A skądże mam wziąć suknie? — odparła kobieta; — wczoraj jeszcze zastawiłam ostatnią chustkę za dwadzieścia kopiejek.

Następnie poszła do łóżka i wzięła dziecko na ręce, Marcin zaś wstał także, udał się do kąta, szukał tam czegoś chwilkę i wy dobył stary kaftan. — Weź to, — rzekł — nie na wiele się to przyda, ale dziecko przynajmniej będziesz miała czem zawinąć.

Kobieta popatrzała najpierw na kaftan, potem na starego, znowu na kaftan, wzięła go i zaczęła płakać. Marcin także musiał się odwrócić. Wyciągnął następnie skrzynię z pod łóżka, szperał w niej i zwrócił się znowu do kobiety. A ona mówiła:

— Niech ci Pan Jezus zapłaci, ojcze! To On z pewnością był, co przywiódł mnie pod twoje okno. Inaczej z pewnością umarżłoby mi dziecko! Kiedym wychodziła z domu, było zimne, a teraz — popatrz, jakie teraz ciepłe się zrobiło! Z pewnością to On, Pan Jezus, kazał ci patrzeć przez okno i zobaczyć mnie, biedną kobietę.

Marcin się na to uśmiechnął i rzekł: — A tak, to On! Niedarmo ja, kobiecinko, patrzyłem przez okno. — I Marcin opowiedział żonie żołnierza swój sen i jak usłyszał głos, który mu powiedział, że Pan Jezus go dziś odwiedzi.

— To może być — powiedziała kobieta, wstała, zawinęła dziecko w kaftan, skłoniła się Marcinowi, dziękując mu raz jeszcze.

— Weź to, w imię Chrystusa — powiedział Marcin, wciskając jej w rękę monetę dwudziestokopiejkową, — wykup chustkę.

Kobieta przeżegnała się, Marcin się także przeżegnał i odprowadził ją na ulicę. — Kobieta poszła swoją drogą, Marcin zaś powrócił do izby, zjadł barszcz, sprzątnął naczynie i zabrał się znowu do roboty. Szyje, puka i smołuje, ale skoro cień jaki przesunie się po oknie, wygląda czempredzej, kto idzie. Znajomi i nieznajomi tak przechodzili, lecz nikt z nich nie zwrócił bardzo jego uwagi.

Wtem ujrzał starą zgarbioną babę, która też przed jego oknem się zatrzymała. Niesie koszyk z jabłkami — niewiele ich zostało — widać sprzedaż dobrze jej poszła; na plecy zarzucony ma worek z trzaskami, które około jakiejś budowli nazbierała i niesie do domu. Wór ją musi gniesć, chce go przerzucić na drugie ramię, składa go więc na chodniku, koszyk z jabłkami stawia na wystającym kamieniu i następnie utrząsa lepiej trzaski w worku.

Wtem skrada się do kosza, Bóg wie skąd, chłopczyśko w podartej czapce, chwytą jedno jabłko i chce z niem umknąć, ale stara spostrzega to, biegnie za nim i przytrzymuje go za ramię. Mały rzuca się i stara się wyrwać, ale ona chwytą go obiema rękami, zdziera mu czapkę z głowy i bierze go za czuprynę. Chłopak wrzeszczy, stara łaje, a Marcin ma za ledwie tyle czasu, aby szydło wbić w stół i wybiega, jak może najprędzej, za drzwi, potyka się na schodach, że mu okulary z nosa spadają. Kiedy wypadł na ulicę, stara trzyma chłopca ciągle za włosy, tarnosi nim i wymyśla mu, i chce go zaprowadzić na policją; ale mały broni się i woła bezustannie: — Nie wzięłem nic, czego mnie bijecie? Puśćcie mnie!

Na to zbliżył się Marcin, aby ich rozłączyć, wziął chłopca za rękę i rzekł do starej: — Puśćcie go, matko, darujcie mu w imię Pana Jezusa.

— Ja mu tak daruję, że całe życie mnie popamięta. Na policją zaprowadzę łajdaka.

Ale Marcin nie ustępował, lecz prosił dalej: — No, no, puść go, matko, on już tego nie będzie robił. Puść go w imię Pana Jezusa.

Stara na to puściła chłopca, który chciał umknąć, ale Marcin przytrzymał go za ramię. — Stój! — zawołał, — przeproś pierwej matkę! A na przyszłość strzeż się czegoś podobnego; widziałem, jak brałeś jabłko.

Chłopak wybuchnął płaczem i począł przeproszać.

— No, już dobrze, dobrze! — mówił Marcin — możesz sobie wziąć jeszcze jedno jabłko. Ja zapłacę, matko, — zwró-

cił się do starej, biorąc jabłko z kramu i podając chłopcu.

— Poco to psuć jeszcze takiego urwipołcia — mruzczała przekupka. — Należałoby się go tak obdarować, żeby czuł przez tydzień przynajmniej.

— Dajcie mu spokój, matko, — rzekł Marcin — wedle ludzkiego sądu masz słuszność, ale nie wedle boskiego. Jeżeli jemu za jabłka należą się baty, to cóż namby się należało za wszystkie nasze grzechy?

Stara zamilkła, a Marcin powiedział jej ową przypowieść, jak to pan darował cały dług dzierżawcy, a ten, powróciwszy do domu, począł dusić swego dłużnika. Marcin opowiadał, a przekupka i chłopak słuchali. — Bóg nam każe przebaczać, — mówił Marcin — inaczej i nam nie będzie przebaczonem. Wszystkim powinniśmy przebaczać, a upośledzonym przedewszystkiem.

Stara potrząsała głową i westchnęła. — Tak, tak, — powiedziała — ale wtedy chłopcy byliby jeszcze zuchwalsi.

— No to my, starzy, powinniśmy ich pouczyć — odparł Marcin.

— Macie słuszność — odezwała się stara — miałam i ja siedmioro dzieci, ale została mi tylko jedna córka.

I zaczęła opowiadać, jak i gdzie żyje, że mieszka przy córce i ile ma wnuków.

— Słaba już jestem, — ciągnęła dalej — ale pracować nie przestaję. Robię to dla wnuków. Dobre dzieciśka, przywiązane są do mnie z całej duszy. Aksiuta naprzykład, nie chce iść do nikogo, kiedy jest u mnie na rękach. „Babunia“, mówi, „kochana babunia, dobra babunia“.

Starej całkiem serce roztajało przy tem opowiadaniu. — No, wie się coś o tem, jak to dzieci umieją człowieka sobie ująć — dodała, i zwróciwszy się do chłopca, powiedziała: — Niech tam Bóg będzie z tobą; — i więcej już na niego się nie gniewała.

Następnie chciała wór z trzaskami znowu wziąć na plecy, ale chłopak poskoczył i zawołał: — Pozwólcie, matko, ja idę w tę samą stronę, to wam poniosę worek.

Stara pokiwała głową, przystała na to i poszła razem z chłopcem. Nawet pieniędzy za jabłka od Marcina wziąć nie chciała. A ten postać chwilę i widział, jak oboje zgodnie poszli i coś sobie nawzajem opowiadali.

Marcin powrócił do swego warsztatu, znalazł na schodach okulary, które wcale się nie stłukły, wziął szydło i zabrał się znowu do roboty. Pracował jeszcze chwilę, bo za-

częło się już ściemniać i stary chybiał już dratwą. Latarnik przeszedł mimo. — Trzeba zapalić światło — pomyślał Marcin — przyrzadził lampę i zabrał się znowu do roboty. Jeden but już gotów, obraca go na wszystkie strony, przygląda się i widzi, że wszystko jest w porządku. Zebrał więc narzędzia, poskładał kawałki skóry, wyrzucił skrawki, postawił lampę na stole i rozłożył Ewangelię. Chciał ją otworzyć tam, gdzie wczoraj stanął i założył kawałeczkiem safianu, ale książka sama rozwarła się na innem miejscu. A kiedy już była otwarta, Marcin przypomniał sobie wczorajszy sen i zaraz potem wydało mu się, że ktoś za nim stoi. Obraca się — i oto ludzie jacyś stoją w ciemnym kącie, ale on nie może poznać, co za jedni. A głos jakiś szepce mu w ucho:

— Marcinie, hej, Marcinie, nie poznałeś mnie?

— Kogo miałem poznać? — zapytał Marcin.

— Ach, mnie! — mówił głos. — To ja jestem!

I z ciemnego kąta wysunął się Stepanicz, uśmiechnął się i rozpląnął się, jak mgła w powietrzu.

— I to ja jestem — odezwał się znowu głos.

A z ciemnego kąta wystąpiła kobieta z dzieckiem, uśmiechnęła się i rozpląnęła się w powietrzu.

— I to ja jestem — szepnął znowu głos — i zjawili się przekupka i chłopiec z jabłkiem, uśmiechnęli się i znikli tak samo.

A Marcinowi zrobiło się błogo na sercu. Przeżegnał się, nałożył okulary i zaczął czytać Ewangelię, tam gdzie się otworzyła, od góry stronicy:

„Gdyż byłem głodny, a wyście mnie nakarmili, byłem spragniony, a wyście mnie napoili, byłem obcym, a wyście mnie w dom przyjęli“...

A na tej samej stronie czytał: „Cokolwiek uczynicie najmniejszemu z braci moich, mnieście uczynili“.

A Marcin pojął, że to nie był żaden sen, że Zbawiciel naprawdę dnia tego był jego gościem i, że on Go źle nie przyjął.

RUSIN, MOSKAL i POLAK

czyli

Kościół unicki a schizma.

(Ciąg dalszy. — Patrz Nr. 2).

Całkiem atoli inaczej się rzecz miała w Rosyi. Tutaj do 13-go wieku wcale nie było Biskupa, a w 13-tym wieku był dopiero jeden, i to w Rostowie. Dopiero Iwan III. Wasilewicz

(1457) sam na swoją rękę wybrał Metropolitę i, nie pytając się nikogo, kazał go wyświęcić. To też taki Metropolita był od kniazia całkiem zależny, a jak nie chciał słuchać, to nawet kara cielesna go spotkała. „Kniaź bił Biskupów w pyski“. Kiedy n. p. Metropolita Bartłomiej nie chciał być malowanym tylko Biskupem, odebrał mu kniaź pastorał, okułał go w kajdany i posłał do klasztoru. Innym znowu razem zebrał się Synod w Moskwie i złożył z urzędu Metropolitę Zozymę, bo się wydało, że był heretykiem, żydem i deptał Krzyż św. i obraz Matki Boskiej. Ale kniaź mimo to go na stolicy zatrzymał.

Takich dowodów byłoby wiele, ale to, co się powiedziało, wystarczy, aby dowieść, że w Rosyi kniaź, a potem car zawsze rządził jakby Papież — ale stokroć gorzej. Więc też Ruś nie ma co tęsknić za takimi rządami, i lepiej robi, że się trzyma prawowitej Głowy Kościoła, następcy Piotra św., Biskupa Rzymskiego.

III.

Czy Kościół na Rusi był w początkach swego założenia w jedności z Papieżem?

Moskal. Prawisz mi o tem, że cerkiew na Rusi była zawsze katolicką i, że z Papieżem zawsze trzymała — a przecież przyznasz, że cerkiew tę założył nie Papież, tylko Patriarcha carogrodzki, który Papieża wcale za wyższego nie uznawał i owszem wyklął go z Kościoła.

Polak. Bardzoś mi w porę przyszedł z tym zarzutem, mój Moskalu, bo w odpowiedzi nań dowiodę ci, że właśnie w samym początku swego istnienia był Kościół na Rusi wiernym Papieżowi, i że wiara, którą tu zaszczipiono, nie była schizmatycka, tylko szczerze rzymsko-katolicka, chociaż obrządek był od początku nie łański, tylko wschodni, a języka słowiańskiego używano do Mszy św.

Rusin. Któż tedy zaprowadził chrześcijaństwo na Rusi?

Polak. Pierwsze początki wiary były tu już od bardzo dawna, a najpierwsi święci na Rusi: Askold i Dir, już w VIII. wieku żyli, a więc nim Rusowie przybyli ze Skandynawii, i ziemie słowiańskie podbili. Ale rzeczywiście dopiero dwaj święci bracia, Cyryl i Metody zanieśli tu światło wiary. Najpierw nawrócili oni Bułgarów, którzy pobratymcami są Rusinów i z nimi sąsiadują, a potem poszli do Morawii, skąd chrześcijaństwo się rozeszło na Polskę i Ruś. Polska jednak przyjęła z czasem obrządek łański — Czechy tak samo — ale na Rusi pozostał on aż dotąd.

Moskal. Przyznasz mi jednak, że tych świętych apostołów Słowian wysłał Patriarcha Focyusz, który zerwał z Papieżem, a wcale go nie słuchał, więc też wysłani przezeń obaj święci Papieża nie uznawali Głową Kościoła.

Polak. Różni o tem pisali, czy Focyusz wysłał tych Świętych, czy też św. Ignacy Patriarcha, którego ten Focyusz haniebnym podstępem ze stolicy patryarchalnej strącił, a chociaż Papież św. Ignacego kazał przywrócić, i chociaż ósmy Sobór powszechny, zebrany w Carogrodzie (869 roku), wykłął Focyusza, to on jednak na stolicę powrócił za sprawą świeckiej władzy.

Nie mielibyście się więc właściwie o kogo upierać, mój Moskalu, bo ten Focyusz to było wielkie ladaco. Ale o to tu wcale nie chodzi, kto ich wysłał; bo ksiązę Morawski Rościsław zarządał misyonarzy, i tylko ci dwaj bracia w Carogrodzie po słowiańsku umieli, więc też oni tylko pójść mogli, a nie kto inny. Kiedy zaś zaczęli szerzyć wiarę po słowiańskich ziemiach, a księgi święte do służby Bożej potrzebne przełożyli na język słowiański, wtedy Niemcy zazdrośni oskarżyli ich przed Papieżem, że szerzą nową wiarę. Papież wezwał ich do siebie, oni też poszli do Rzymu — i Papież utwierdził ich księgi — i pobłogosławił.

Potem wyświęcił św. Metodyusza czyli Strachotę na Biskupa Morawii, a św. Cyryl, jako już stary, został w Rzymie i tam też umarł i pochowany jest w kościele św. Klemensa. Św. Metodyusz zaś poszedł do Morawii i tam bardzo gorliwie nawracał. I znowu go niemieccy Biskupi oczernili, więc on znowu poszedł do Rzymu i powtórnie się przed Papieżem uniewinnił i dostał listy pochwalne do kniazia Świętopełka, i Papież wydał zakaz do Biskupów niemieckich, aby go nie turbowali.

Pytam się teraz: czy byli ci dwaj bracia posłuszni Papieżowi, czy nie? — Jeśli nie byli posłuszni, to po co chodzili do Rzymu? Po co się usprawiedliwiali? — Czemu nie szli do carogrodzkiego Patriarchy, jeśli Papieża nie uznawali za sędziego i za Głowę całego Kościoła?

Jeśli zaś byli podlegli Papieżowi, to też nie byli schizmatykami, tylko unitami, albo katolikami, a ponieważ byli prawowiernymi katolikami, więc też wiarę szerzyli na Rusi prawowierną katolicką, a nie żadną schizmatycką. Dlatego też wiara na Rusi została zaprowadzona prawdziwie katolicka i cerkiew ruska była połączona ściśle z Rzymem i Papieżem.

Rusin. To, coś powiedział, jest jasne, ale za obydwóch braci tu i owdzie tylko przyjęło się chrześcijaństwo, a kto wie,

czy później za wpływem Patryarchów greckich nie wkradła się do nas schizmatycka wiara?

Polak. Bardzoś słusznie zauważył, że za czasów obydwóch braci świętych nie wszyscy jeszcze zostali chrześcijanami. Dlatego też Olga, księżna kijowska, a mianowicie wnuk jej, książę Włodzimierz Wielki, starali się zaprowadzić chrześcijaństwo w swoich ziemiach, i dopiero też za jego czasów przyjęło się ono na całą Rusi. Jednakże w owych czasach nie było rozłączenia pomiędzy greckim, a łacińskim Kościołem — i od czasu VIII. Soboru powszechnego, na którym Focyusz został wyklęty, a św. Ignacy przywrócony (869) — aż do Michała Cerularyusza, który na nowo rozerwanie między obydwojma Kościołami wywołał (1053 r.), była jedność i zgoda, i Grecy Papieża za Głowę Kościoła uznawali. — Dlatego też tak Wielka Księżna św. Helena Kijowska, czyli Olga, jak św. Włodzimierz Wielki, jej wnuk, posyłali i do Carogrodu po greckich misjonarzy i do Niemiec po łacińskich, bo żadnej różnicy we wierze między nimi nie było, i dlatego też uznał ich Papież jako Świętych i cześć ich dla cerkwi ruskiej zatwierdził.

Moskal. Przyznasz mi jednak, że metropolitami na Rusi byli Grecy, więc jak się Carogród oderwał od Rzymu, to też i ci metropolici oderwali cerkiew ruską od posłuszeństwa Papieżowi.

Polak. Pozornie tak by sądzić można, ale rzeczywiście tak nie było. — Naprzód co się tyczy tych metropolitów rodem z Grecyi, to wiadomą jest rzeczą, że bywali oni na stolicy kijowskiej tylko do r. 1415, w którym to roku ostatni z nich, imieniem Focyusz, został złożony z urzędu na synodzie w Nowogródku Litewskim przez Władków i Kniazia Witolda, bo okradł cerkiew i uciekł z pieniędzmi.

Odtąd już noga żadnego Greka na Rusi nie postąpiła, bo sprzykszyło się Rusinom opłacać im grube pieniądze. Każdy z nich bowiem musiał wpierw zapłacić Patryarsze, jeśli chciał od niego godność metropolity otrzymać — a przybywszy na Ruś zdierał ile się dało, aby zebrać to, co wydał. Ztąd też wcale ich Rusini nie lubili i dlatego też już po pierwszych metropolitach z Carogrodu przysłanych, czwartego z kolei sami sobie Władcy ruscy obrali Rusina, imieniem Hilariona (1051 r.), nie pytając, ani nie donosząc nic o tem Patryarsze carogrodzkiemu.

Zdarzenie to jest dlatego niesłychanie ważne, że właśnie pod ten czas ów carogrodzki Patryarcha Michał Cerularyusz, o którym już była mowa, zerwał jedność z Rzymem — i w tym też czasie Ruś zerwała jedność z Carogrodem.

Nadto wiedzieć jeszcze o tem trzeba, że w pierwszych 4 wiekach od zaprowadzenia chrześcijaństwa nie sami tylko Grecy byli metropolitami na Rusi i to w Kijowie. Bo oto zaraz po owym Hilarionie nastąpiło 2 metropolitów Rusinów, i byłiby może już Grecy do Kijowa nie trafili, bo ich tam wcale nie pożądanio, ale Książ Włodzimierz II., zwany Monomachem, dał się ująć darami i ożenkiem tak dalece, że za jego sprawą znowu Grek zasiadł na stolicy kijowskiej. Ale już 1146 roku znowu Władcy ruscy obrali jednego z pomiędzy siebie na metropolitę.

W ciągu XIII. wieku byli na przemian raz Grek, drugi raz Rusin metropolitami, aż ów metropolita rodem Grek, Focyusz, tak się spisał, jak o tem wyżej była mowa. Potem płacili Rusini Patryarsze pieniądze, żeby im się tylko do wyboru metropolity nie mieszał, a mianowicie nie przysłał znowu jakiego z długimi palcami. To też dało powód, że później całkiem zerwano z Carogrodem stosunki, o czem jeszcze później będzie mowa.

Tyle przy tem wszystkiem pewna, że ruska cerkiem nigdy jawnie z Rzymem nie zerwała, i żadnych na to nigdzie dowodów nie ma. Owszem, tak silnie się łączyli Rusini z katolikami, że greccy Metropolici nawet karcili ich w swoich listach, wydanych uroczyscie, o to przywiązanie. Ale takie głosy przechodziły bez wpływu, bo ci Metropolici, ani języka słowiańskiego, ani obyczajów nie znali, nie mogło też być mowy o tem, aby mogli zbyt wielki wpływ na swoje owieczki wywierać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Król Leszczyński i szewc.

Nieszczęśliwy ten, choć mądry i zacny król, ustąpić musiał z Polski w roku 1736 przed przemocą swego przeciwnika Augusta III. Sasa, obranego także królem polskim. We Francyi, król Ludwik XV., pojawiwszy córkę jego Maryę za żonę, dał mu w dożywocie Księstwo Lotaryńskie ze stolicą Nansy. O ile, godna cnót ojca, Marya zasłużyła sobie na wdzięczną pamięć narodu francuskiego, jako dobroczynna i mądra królowa, o tyle król Stanisław dotąd żyje w pamięci mieszkańców miasta Nansy i całej Lotaryngii. Nazwany dla swej mądrości filozofem, świadczył Leszczyński nowym swoim poddanym wiele dobrego. Raz,

przechadzając się po przedmieściu w Nansy, usłyszał wesoły śpiew szewca, który w licej chacie przy kopycie w ten sposób uprzyjemniał sobie długie godziny pracy.

Chcąc bliżej poznać tak szczęśliwego człowieka, wstąpił król Stanisław do bardzo skromnej izdebki i wszedłszy z szewcem w rozmowę, spytał go, czyby mu jeszcze czego nie brakło do zupełnego szczęścia.

— Powiedz śmiało, — rzecze król — a chętnie twoje żądanie wypełnię.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział szewc — dzięki Bogu mam roboty dosyć, to i chleba mi nie brak; ale szłoby mi jeszcze lepiej, gdybym miał w rękę ze sto talarów, bo sam nie męczyłbym się tyle, mając więcej ludzi i rozszerzyłbym swój warsztat.

Leszczyński wyliczył mu żądane pieniądze, spodziewając się, że przez to szewc zapewni los swój i swych dzieci. Lecz następnym dni piewca nasz jakoś już wcale śpiewów swych nie wywodził; dobry król dziwił się nie mało tej zmianie, aż pewnego rana przyszedł na zamek królewski szewc i prosił o pozwolenie widzenia się z królem. Gdy wszedł przemówił:

— Od dnia, jak mnie Najjaśniejszy Pan tak wspaniale obdarzył, zniknął mój dawny spokój i wesołość, czy śpię, czy czuwam, kłopotę się zawsze, jak mam użyć tych pieniędzy, lub trwożę się, aby mi ich złodziej nie zabrał i mnie przytem nie zabił. Słowem, usycham z kłopotu. Widzę przeto, że nie dogodzenie żądzy, ale praca jest szczęściem mojem. Zwracam zatem z podziękowaniem pieniądze Najjaśniejszemu Panu.

Wróciwszy do swej pracy i mając myśl swobodną, nucił znowu piosnki po dawnemu.

Opowieść o Szwedzie.

Za wojen szwedzkich w Koronie i Litwie,
Po jednej bitwie,
W której plac boju odzierżyły Szwedy,
Jeden z czeredy,
Tchórz przed żywymi, lecz zuch między trupy,
Szedł z nich obdzierać łupy.
Patrzy, aż leży Polak — śnać bogaty,
Drogi oręż i szaty.
Trzy rany w piersiach, — lecz jeszcze się rusza,
„Ho, ho, rogata dusza!“

Pomyślał sobie Szwed. „Lecz kto go zgadnie?“

„Nuż się przyczaił zdraźnie!“

Dobył więc miecza i przebił raz czwarty.

Miecz z krwi otarty

Schował znów w pochwę — i nuż do roboty.

Na palcu sygnet złoty.

Chce go więc najprzód ściągnąć i przyklęka,

Alic wtem ręka

Ścisnęła palce w pięść. — Szwed, gdy to zoczył,

Zląkł się, odskoczył.

I znów do miecza. Ciął. — „Teraz już pewnie

Trup ani ziewnie!“

Otarł miecz znowu — lecz, nim w pochwę włożył,

Trup wąs nasrożył.

Szwed struchlał cały; ale się ośmielił,

Dobył pistolet, strzelił.

„No, teraz koniec!“ — i całkiem spokojny

Przykląkł znów. — Polak strojny,

A więc nasamprzód obdzierać jął suknie.

Aż wtem jak huknie

Coś w środku trupa! Szwed porwał się, wrzasnął,

Jakby weń piorun trzasnął,

I dalej w nogi, rzuciwszy swój łup.

„To duch, nie trup!“

Wołał. — „Choć głowę odrąb mu toporem,

„Wstanie upiorem!“ —



NOWY DZWONEK

pismo ludowe

poświęcone **wiadomościom z chwili bieżącej**, wychodzi w Krakowie rok **dziewiąty** — **dwa razy** w miesiącu, to jest dnia **1-go** i **15-go**.

W każdym numerze *Nowego Dzwonka* mieszczą się: **wiadomości społeczne i polityczne** (tak krajowe jak i zagraniczne) — **kronika kościelna** — **obfite nowiny światowe i rozmaitości**.

Przedpłata na „NOWY DZWONEK“ wynosi:

W Austrii na rok: 5 koron (2 złr. 25 ct.) — **na pół roku: 2** korony **50** hal. (1 złr. 25 ct.). **W Niemczech** na rok: **5** marek. **W Ameryce** na rok: **1½** dolara. — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się.

Adres:

Redakcja „Nowego Dzwonka“

w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.